

INTERPRETACJA

Wstęp

Gdy dziesiąty raz w ciągu jednego dnia usłyszałem piosenkę, w której brzmiały słowa: „Naprawdę im więcej ciebie tym mniej, jak to jest możliwe”, miałem już dość. Nie wytrzymałem i wrzasnąłem w kierunku radia:

- Zaprawdę to bulimia. Im więcej się nażresz, tym więcej zwrócisz. Wierz mi, to jest możliwe!

Słuchając słów: „Widziałam orla cień, do góry wzbił się niczym wiatr”, prostota mojego umysłu narzuciła obraz okaleczonego pięknego ptaka, któremu cień powodowany zazdrością wyrwał skrzydła, przyczepił sobie i odleciał pozbawiając nas dumnego symbolu narodowego.

Słyszac: „Szczęściem nie bój się nakruszyć, wypełnijmy nim poduszki”, troszkę się rozczuliłem.

- Jacyż oni biedni! – pomyślałem. - Nie dość, że do zjedzenia zostało im tylko szczęście to nie mogą go skosztować w całości, bo w gospodarstwie brakuje pierza do poduszek.

Byłem przerażony swoim niewrażliwym odbiorem treści, gdyż podejrzewałem, że te i niektóre inne piosenki niosą w sobie o wiele głębsze przesłanie. Sięgnąłem po alkohol, by stłumić narastającą rozpacz, że nie rozumiem, nie czuję, nie wzniecają we mnie żaru, że autorzy trudzą się między innymi dla mnie, a ja nie!

Nic w ząb!

Jestem po prostu nieczuły!

Pijąc kolejnego drinka poczułem samotność jednostki, wytykanego palcem prostaka, który nic nie rozumie, a przecież wokół jest tysiące, setki tysięcy fanów rozumiejących, czujących, przeżywających, łkających, lansujących.

Coś musi być ze mną nie tak!

Pilem więc dalej, bo uwierała mnie moja tępota i wiek, który wykluczał jakiejkolwiek możliwości zmian.

Kończąc butelkę pogodziłem się już z tym, że jestem uboższy o całą gamę precudownych doznań i umrę w zazdrości.

Nagle, gdy rozważałem możliwość szybkiej wycieczki do nocnego sklepu monopolowego w celu podtrzymania bezpiecznego nastroju rezygnacji w głośnikach zabrzmiał niepokojący zlepek słów: „Jak anioła głos, usłyszałem ją”.

Wstrząśnięty, natychmiast wytrzeźwiałem.

I naszła mnie myśl, że spróbuje opisać pewne zdarzenie właśnie taką formą, przynajmniej w niektórych fragmentach. Słowami, które zestawione razem może ładnie brzmiać, ale niewiele znaczą.

Przy okazji odkryłem skąd biorą się tego rodzaju teksty.

O tym jest ta opowiadanka, czyli - konsekwentnie trzymając się myśli zawartej we wstępie - o niczym.

Rozdział I - Problem

- Tato, jesteś w domu?!

Głośnie trzaśnięcie drzwi wejściowych i moja nastoletnia córka wpada do pokoju. Rzuca torbę na podłogę i z ciężkim westchnieniem siada na kanapie.

- Jestem - podnoszę wzrok znad książki. - Cześć!

- Przecież widzę, że jesteś. Cześć!

Rzeczywiście, przecież widzi.

Z kuchni, zwabiona głosami przychodzi nasza kocica. Wita się z córką i z dostojeństwem siada obok niej.

- Tato! Muszę ci coś ważnego powiedzieć... - Jej dziewczęcą buzię okrywa całun powagi godny Mistrza Ceremonii Pogrzebowej.

- A co? Wychodzisz za mąż i w natłoku spraw zapomniałaś mnie o tym poinformować?

- Eee... - krzywi się pogardliwie. – Na takie głupoty mam jeszcze czas!

- Chciałem tylko zaznaczyć, że skutkiem tych, jak to nazywasz – głupot w większości przypadków są dzieci. Między innymi takie niegrzeczne dziewczynki jak ty.

- No nie, tato! Nie truj! Możesz mnie wysłuchać?

Mogę. A nawet chcę. Przecież to moja córka!

- Muszę zmienić szkołę! Natychmiast! – Wbija we mnie zdecydowane spojrzenie, niezachwiane jak pewność ręki kata ścinającego głowę skazańca.

Odkładam książkę i sięgam po ulubioną fajkę. Celebрую nabijanie tytoniem, zapalam i otulam się chmurą wonnego dymu.

- A czemuż to, jeśli mogę zapytać?

Marszczy brwi i widzę, że zastanawia się jak przystępnie wytłumaczyć ojcu, pozostałości po epoce dinozaurów, dręczący ją problem.

- Nie mogę się dogadać z panią od polskiego! No, nie mogę i już!

- Ale w czym nie możesz? – Wydmuchuję spokojnie kolejną porcję aromatycznego obłoku.

Wzdycha głęboko i mówi:

- Interpretowaliśmy wiersz i nie zgodziłam się z jej twierdzeniami. W ogóle nie zgadzam się na interpretowanie wierszy. Ja czuję inaczej i nie interesuje mnie, co autor miał na myśli tylko jak piękne lub nie, są jego wrażenia! Nie wierzę, że ktokolwiek wie, co twórca miał na myśli szczególnie jak się naćpał albo opił! I nie podoba mi się, że interpretacja musi być taka, jaką chce szkoła! No, bo jeżeli mnie nie przekonuje to na cholerę mi taka interpretacja!

- Hej, mała! Nie wyrażaj się! – ojcostwo wymusza reakcję.

- No, ale tato! Do czego jest potrzebna ta interpretacja! Jeżeli pani w szkole twierdzi, że tylko taka jest właściwa to gdzie tu miejsce na myślenie? To nie wystarczy powiedzieć: proszę nie kombinować tylko przepisać do zeszytu? A ja nie mogę czuć czegoś innego?

Ha! Temat znany, oklepamy, ale wciąż niebezpiecznie śliski!

- Ale, czy to wystarczający powód żeby od razu zmieniać szkołę? – unikam odpowiedzi, bo nie czuję się upoważniony do podważania słuszności programu edukacyjnego. Na szczęście nie muszę odwracać kota ogonem. Nasza kocica słysząc mój wybieg, bez mojej ingerencji z pogardą pokazała mi tył.

„No, no! Nie bądź taka cwana, nie masz dzieci!” - pogroziłem jej w myślach. Miauknęła lekceważąco. Z podniesionym jak chorągiew huzarska ogonem, ostentacyjnie opuściła pokój. Pewnie poszła żreć. I ma problem z głową.

Ja nie.

- A nie jest wystarczający?! – oburzenie córki przytłacza mnie ogromną intensywnością.

- No, chyba nie – ostrożnie lawiruję między jej emocjami. – Myślisz, że w innej szkole nie będzie tak samo?

- A właśnie! A jak z tym było w twojej szkole?

- W mojej? – w popłochu rozglądam się za ogonem kocicy. Nie ma jej. Pewnie obzarła się i teraz siedzi w kuwecie. Cwaniara!

- No przecież chodziłeś do jakiejś szkoły, nie? – pyta niewinnie jakby myślała, że w moich przedpotopowych czasach nie było tak wielkiej jaskini żeby pomieścić uczniów z całego plemienia.

- Chodziłem, a jakże!

- I jak było u ciebie z tą interpretacją?

„-Cholera! Ale się wkopałem. Nie odpusć!” – myślę i nie ganię się za słownictwo. Przecież jestem w końcu dorosły!

- Było czy nie było?

- Było! – wzdyham. – Do dzisiaj dziecko mam wątpliwości czy słusznym jest walczyć o wiedzę: ”co autor ma na myśli”. Czy interpretacja tego rodzaju jest potrzebna?. Hmm... znałem kiedyś kogoś, prawie tak młodego jak ty, który starał się wykorzystać interpretację dla własnego ratunku.

- Tak? A kogo? I nie mów do mnie: dziecko! Tyle razy już mówiłam, że jestem dorosła!

- Uważasz się za dorosłą? – Jeszcze mam nadzieję, że kocica załatwi swoje potrzeby i przywlecze tu jakże potrzebny ogon.

- Oj, tato! – pogardliwie prychna córka. – Nie będziemy o tym dyskutować, bo nie ma o czym! Jestem dorosła i już! Pogódź się z tym w końcu! Opowiedz lepiej o tym potrzebującym ratunku w interpretacji.

Nie wykręcę się. Nie mogę już liczyć na naszego zwierzaka. Gdzieś się czarna diablica zapodziała. Jak to kot. Chadza własnymi ścieżkami wytyczonymi niezrozumiałą dla ludzi potrzebą.

Próbuję jeszcze zażartować i zaczynam opowiadać:

- Dawno, dawno temu, kiedy moje pokolenie zeszło z drzew i nauczyło się przykrywać własne odchody leśną ściółką, gdy zaczęło używać liści łopianu nie tylko, jako zastawy, ale również w celach higienicznych postanowiono nieść ogólnodostępną oświatę. Przy pomocy kamiennych siekier, kilku tresowanych bobrów ścięliśmy parę drzew i zbudowaliśmy wiatę zwaną szkołą. Do tej szkoły...

- Tato! – wyrzut w oczach córki zawstydzia mnie. – Opowiesz?

Śmierć kocim ogonom.

Opowiem.

Rozdział II – Lekcja muzyki

Liceum, do którego uczęszczałem było niewielkie nie tylko kubaturą, ale i ilością uczniów. Na każdy rocznik przypadały tylko dwie klasy. Mieściło się na peryferiach miasta i w rankingach przycupnęło w strefach powoli zapominanych przez oświatę, której kaganek służył raczej do podgrzewania szeroko pojętej atmosfery beztroski niżli edukacji.

Nie było jednak ostatnie na liście licealnych bestsellerów!

Mimo miernego poziomu za nami znalazło się jeszcze kilka gorszych szkół. Nie był to powód do dumy, ale jednak zawsze coś!

Wśród uczniów owego przybytku wiedzy, inteligencja nie stanowiła wielkiej wartości. W części męskiej pozycję w hierarchii wyznaczała siła fizyczna - w żeńskiej głównie moda.

By utrzymać się na jakimś przyzwoicie wysokim szczeblu męskiego układu trzeba było, co jakiś czas toczyć walki. Moja droga znaczona dość często pękniętą wargą, podbitym okiem, ciekącą krwią z nosa czy innymi na szczęście niegroźnymi kontuzjami, zaprowadziła mnie na średni poziom gwarantujący względny spokój.

Dodatkowym problemem były moje zainteresowania. Od szkoły podstawowej chodziłem również do wieczorowej szkoły muzycznej ucząc się gry na skrzypcach.

Gdyby ktoś, w tym liceum dowiedział się, że zajmuje się czymś tak ułomnym, niemęskim, graniczącym w pojęciu moich kolegów z porzuceniem dobrych, zdrowych obyczajów, wyładowałbym na samym dnie w kącie tuż obok ścierki do podłogi.

Gitara, harmonijka ustna, jakieś instrumenty klawiszowe, owszem! Ale skrzypce?!

Hańba!

I chociaż również umiałem grać na gitarze, fortepianie wołałem to skrzętnie ukrywać żeby nie wzbudzić podejrzeń, co do poziomu muzycznego, który siłą rzeczy był ciut wyższy niż kolegów.

W liceum niepodzielnie panował prawdziwy wielkolud z mojej klasy o przezwisku Swądek.

Każdy wie, że środowiska szkolne samoczynnie tworzą bez żadnego racjonalnego wytłumaczenia różne dziwne pseudonimy.

Dlatego nie znam przyczyny nazwania mnie Albertem.

Swądek wychowywał się w trudnej dzielnicy i od dziecka musiał zmagać się z problemami, których nie rozwiązywała dyplomacja tylko pięść. Ale nie był nadmiernie agresywny. Po prostu skażony w dzieciństwie niezdrową rywalizacją uznał, że najkorzystniej być przewodnikiem stada i starał się trzymać tej zasady. Miał ku temu odpowiednie warunki fizyczne, które perfekcyjnie potrafił wykorzystać.

Nie miałem większych problemów z nauką, radziłem sobie nieźle, co Swądek po jakimś czasie zauważył i usiadł ze mną w ławce w celu chłonięcia mojej wiedzy. To znaczy ściągał, co się dało i jak dało, a ja od tej pory miałem całkowity spokój. Jego pozycja przywódcy zakreśliła także krąg nietykalności wokół mojej osoby. Czasami pytał mnie, co porabiam po szkole, dlaczego nie przychodzę wieczorami na boisko, ale widząc, że niechętnie podejmuję takie tematy nie dociekał i uznawał moją odrębność.

Nie mogłem przecież powiedzieć prawdy. Nie byłem typem samobójcy!

Tym bardziej, że już raz omal nie wpadłem.

W naszej szkole był podział przedmiotów artystycznych. Klasy z językiem niemieckim miały tak zwaną plastykę, a z angielskim muzykę. Trafiłem do klasy „angielskiej”, więc automatycznie z przydzielonym przedmiotem muzycznym. Na tych lekcjach trzymałem się poziomu ogólnego bez wychylania, fajerwerków i popisów, które mogły zdradzić moją tajemnicę.

Tamtego, feralnego dnia siedziałem patrząc rozmarzonym wzrokiem w okno, bo poprzedniego wieczoru w szkole muzycznej ujrzałem zjawisko. Wychodząc z lekcji skrzypiec przez uchylone drzwi sąsiedniej klasy zobaczyłem dziewczynę grającą na harfie.

Była oszałamiająco piękna. Miała ciemne włosy jak bezksiężycowa noc w listopadzie, rozszalałe głęboką czernią oczy, dłonie, ramiona gładkie i bardziej giętkie od łabędziej szyi, usta misternie wykrojone w delikatnej materii aksamitu. Namiętność, z jaką dotykała strun, skupienie, żarliwość, gracia sylwetki kreślonej dźwiękami instrumentu natychmiast mnie zniewoliła.

Zakochałem się w jednej chwili.

Na zawsze. Do końca. Ostatecznie.

Tej samej nocy stworzyłem poemat opiewający jej urodę, talent, delikatność, powab, moją tęsknotę, niespełnienie, odwagę, rycerskość.

I, że w razie czego to ja nie opuszczę aż do śmierci!

Amen.

Kiedy rano wstałem niewyspany owe arcydzieło już nie zrobiło na mnie pożądanego wrażenia, wydało mi się zbyt blade, miałkie, ułomne, niewystarczająco piękne, nieoddające w pełni mojego uwielbienia.

- „Nic to!” – pomyślałem. – „Wieczorem napiszę jeszcze raz!”

Siedziałem więc na lekcji muzyki ogłupiały miłością, gdy pani profesor niespodziewanie zarządziła kartkówkę. Z jednym tylko zadaniem: „Wymień znanych ci kompozytorów polskich i zagranicznych”.

Machinalnie, bo zajęty byłem utrwalaniem w wyobraźni postaci tak powabnej, że konstelacje gwiazd chcąc być jeszcze piękniejsze zaczęły się układać na jej podobieństwo, napisałem nazwiska około dwudziestu kompozytorów. Wstałem i idąc aleją drzew ukształtowanych figurą nieziemskiej harfistki dotarłem do biurka kładąc przed panią profesor kartkę.

Wróciłem tą samą aleją, lecz tym razem dodatkowo rozświetloną cudownym uśmiechem wczorajszego zjawiska, usiadłem w ławce i rozpocząłem w myślach malowanie najpiękniejszego portretu świata.

- Chłopcze! Wstań! – głos nauczycielki wytrącił mi z ręki pędzel, którym właśnie starałem się wypełnić płótno rozpięte na sztalugach skolatanej duszy bezgraniczną otchłanią spojrzenia cudownej instrumentalistki.

Wstałem przeczuwając, że coś jest nie tak.

- Skąd znasz tylu kompozytorów, przecież omawialiśmy na lekcjach tylko paru?

- Eee, bee, boo... - nie wiem, co powiedzieć.

- Nie mogłeś ściągać, bo tego nie ma w podręczniku, więc?

- Bo ja... bo ja...

- Interesujesz się muzyką w szerszym zakresie? – Pani profesor patrzy na mnie z zaciekawieniem. Cała klasa też.

- Tak, to znaczy nie... - I chcąc się ratować skaczę w odmęty desperacji: – Bo to przez panią profesor!

- Przeze mnie?!

- No tak, bo pani profesor tak pięknie opowiada o muzyce, z taką pasją, że z ciekawości troszkę poczytałem i jakoś zapamiętałem! I w ogóle pani profesor jest taka ładna, że chciałem zwrócić na siebie uwagę i to właśnie, dlatego! – wypaliłem już bez żadnych hamulców.

Cisza. Trochę zduszonych chichotów koleżanek i zbaraniały wzrok kolegów.

Czekam, kiedy nauczycielka wyrzuci mnie z klasy, ale ona podchodzi do mnie i kiwa pobłaźliwie głową:

- Tak, tak. Chłopcy w twoim wieku często szukają autorytetów wśród nauczycieli.

Teraz i ja zbaraniałem. Chcąc zakończyć tę niezręczną sytuację, zupełnie pogubiony i zmieszany wyrzucam z siebie:

- Ale ja nie mówiłem o innych nauczycielach tylko o pani profesor!

Zarumieniła się, a ja szczerwieniłem w takim stopniu, że gdybym spotkał teraz Indianina obojętnie, z jakiego szczepu natychmiast oddałby mi konia. I dorzuciłby jeszcze tomahawk.

Rozwarte całą szerokością dzioby koleżanek i kolegów czekają na stada much.

Pani profesor opanowała się wróciła do biurka i powiedziała:

- No dobrze, siadaj! Nie będziemy już do tego wracać, chłopcze.

- „Ale do czego?!” – zmartwiałem jednocześnie czując spływającą na mnie ulgę. Konia i tomahawk mogłem już zwrócić kumpłowi z prerii.

Podnoszące się stopniowo drwiące szepty w klasie natychmiast zostały uciszone groźnym spojrzeniem Swądka. Nachylił się do mnie i wyszeptał:

- Ty Albert, ona naprawdę ci się podoba? Przecież jest stara, ma ze trzydzieści lat!

- Nie no, co ty?! – spłoszony mówię mu do ucha. – Zrobiłem to dla hecy, było przecież nudno!

Swądek przyjmuje moje wyjaśnienie i jeszcze raz rozgląda się po klasie sprawdzając moc swojego autorytetu.

Mój wyskok rozszedł się w szkole falą miłosnych plotek, które znakomicie ukryły faktyczną przyczynę tego zdarzenia.

Ale nie na długo.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stygma, dodano 23.08.2011 09:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.